



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Listy z Warszawy.



Lato! Lato! Dokuczały nam zimna niezwykle długo w tym roku, a teraz bodaj czy znów upały zbytecznie się nie przykrzą, tu zwłaszcza w mieście, gdzie mury strasznie się rozpalają od gorąca, a kurz oczy wyjada. To też młodzież szkolna z upragnieniem wygląda tój chwili, gdy egzamina szczęśliwie się ukończą i można będzie lotem ptaka wyfrunąć za miasto, na świeżą rosę, na trawkę zieloną. Ach! wakacje! Sam dźwięk tego słowa, uroczy, melodyjny, dodaje ochoty do pracy, osładza obecne trudy i znoje.

Lecz czy podobna wyobrazić sobie wakacje na bruku miejskim, wśród tego jednostajnego, nieznośnego gwaru, wśród tój ustawicznej kurzawy? O, nie,

zgodzicie się zapewne wszyscy ze mną, czytelnicy, że wakacje bez świeżego powietrza, bez łąk i lasów, bez różnych wiejskich przyjemności, to nawet wcale nie są wakacje. Nie jestem, Bogu dzięki, wielkim próżniakiem, a jednak czuję, że gdybym nie miał nadziei wyjechać na wieś na wakacje, toby mi ciężko bardzo szła praca przy egzaminach. Ręczę, że większość kolegów to zdanie moje potwierdzi.

Tymczasem ileż to dzieci ubogich rodziców nawet marzyć o tём nie może, aby wyjechać na wieś w czasie wakacyj! to też jak te biedactwa nędznie wyglądają, jakie to wszystko wybladłe, wychudzone, aż żal patrzeć czasem na tych uczniaków, co całe lato w mieście przesiedzieli, gdy przychodzą do klasy na początku roku szkolnego. Odrazu ich odróżnić można od rumianych, ogorzałych chłopców, którzy przez miesiąc przynajmniej bujali swobodnie na świeżem powietrzu.

Czyż potrzebuję czytelnikom naszego Pisma opowiadać o koloniach letnich? Czy to raz o nich wspomniano w „Wieczorach?” W tym roku nawet wymowniejszy głos od mego odzywał się „Do serc młodych” zrywając, by młodzież zamieszkała w tój naglącej potrzebie spieszyła z pomocą uboższej braci. Nadchodzą też składki, lecz dość opieszale, ze smutkiem wyznać to muszę. A jednak nie jest to z pewnością brak dobrej woli, bo może być serce tak nieczułe, kamienne, aby się podobnej nędzy nie ulitowało? Nie idzie tu wcale o znaczne jakieś datki, ja to rozumiem doskonale, że młodzież nigdy większą sumę pieniędzy rozporządzać nie może, a rzadko też bywa oszczędną. Jest grosz, to go się

wyda, czy na ciastko, czy na cukierek lub jakąś błyskotkę, i kasa zwykle próżna. Lecz sędzę, że w domach zamożniejszych każda panienska, każdy chłopiec młody, może jednakże w każdym czasie znaleźć choćby tylko dziesięć groszy, lub markę pocztową. Na to już niepotrzeba wielkich funduszków.

Tymczasem jest jeszcze jedna okoliczność, na którą tu właśnie chcę zwrócić uwagę czytelników. Nie każdy ma ochotę wystąpić z takim drobnym datkiem, więc czeka, aż dostanie od rodziców rubla, a przynajmniej półrubla, czeka, odkłada, grosze tymczasem się rozchodzą i czas upływa. Ach, czytelnicy! Smutne to jest bardzo dla mnie, bo oczywiście nie czytaliście z uwagą sprawozdania mojego z zadania konkursowego „Ziarno do ziarnka”. A jednak w tych odpowiedziach śliczne rzeczy opowiadały panienski, jak naprzykład zacni księża budowali piękne kościoły z groszowych datków, jak z drobnych, bardzo drobnych oszczędności zbierały się sumy znaczne, z których potem można było zrobić piękny użytek, wiele dobrego dopełnić. Kto nie czytał, niech zajrzy do Nru 14-go a potem niech posłucha dalszej mojej przemowy.

Zawsze sobie pochlebiałem i pochlebiam, że pomiędzy czytelnikami „Wieczorów” mam trochę przyjaciół. Ba! będę szczerym, bywają chwile, w których jestem bardzo zarozumiałym i wyobrażam sobie, że wszyscy czytelnicy, co do jednego, są moimi przyjaciółmi; no, i czytelniczki, rozumie się, także. Jedyna też to w życiu mojem zarozumiałość, wszak można mi ją wybaczyć, nieprawdaż? Niech więc każdy, kto jest życzliwym dla Kazia, prześle na kolonie letnie, co może, choćby tylko dziesięć groszy, to przecież niewielkie wymaganie. Obliczyż teraz, ile to z tego w przybliżeniu zebrać się może. Gdybym miał tylko stu przyjaciół, (a to byłaby rzecz smutna i upokarzająca dla mnie) i gdyby każdy przysłał dziesiątkę, lub markę pięciokopiejkową, wszak to już i pierwszoklasnik policzyć potrafi, byłoby pięć rubli. Niewiele to jest co prawda, czyniliśmy jednak obliczenie w najgorszym razie, w wypadku nieprawdopodobnym, straszonym, przerażającym, gdyby Kazio miał tylko stu przyjaciół na szerokim świecie.

Przypuśmyż teraz, co już jest nieco pochlebniejsze dla mnie, że mam przyjaciół daleko więcej, no, żeby nie przesadzić, z jaki tysiąc. Według zasady „ziarno do ziarnka”, z owych dziesięciogroszówek wyrasta zawsze sumka pokaźna 50 rs. Z tegorocznego sprawozdania o koloniach letnich dra Fritsche'go dowiadujemy się, że utrzymanie jednego dziecka przez cały czas pobytu jego na wsi wynosi tylko 17 rs. 26 kop. Nie trzeba być wielkim matematykiem, aby obliczyć, że ze trzech biedaków za te pieniądze użyje dobrodziejstwa świeżego powietrza, kto wie, może z nich który uratuje tym sposobem zagrożone życie. O, bo wiele, bardzo wiele ubogich dzieci usycha poprostu z braku powietrza.

A gdybym ja miał więcej, niż jeden tysiąc przyjaciół! Ba! czy to rzecz niemożliwa? A gdyby niektórzy z tych przyjaciół moich posiadali fundusze, przewyższające skromną dziesiątkę? ot tak naprzykład, znów żeby nie przesadzić, po dwadzieścia groszy, lub nawet i po złotówce. W takim razie zebrana z tych datków suma natychmiast się podwaja, lub potraja, jest to rzecz tak prosta, że jój przeciw przykładami i dowodami stwierdzać nie potrzeba, chociaż wiem o tém, że panienski bywają zwykle mniej biegłe od nas chłopców w mate-

matyce, (wynagradzają to nadzwyczajną biegłością w sztukach pięknych i różnych innych umiejętnościach), nie chcą im jednak tak dalece uchybiać, i ten rachunek szczegółowo przeprowadzać.

Mój Boże! Jakieżbym ja był szczęśliwy, gdybym mógł tę przyjaźń uprzejmą dla mnie panienek, na którą oddawna staram się zasłużyć, a której tyle dowodów otrzymują codziennie niemal, otóż, gdybym tę przyjaźń potrafił wyzyskać na korzyść biednych dzieci, tak gwałtownie potrzebujących świeżego powietrza. I ja wyjadę na wieś na letnie miesiące; pracowałem od jesieni pilnie, gorliwie, nie bez powodzenia nawet i chwały, należy mi się teraz odpoczynek. O ileż miłszym byłby mi ten odpoczynek, gdybym się dowiedział przez „Wieczory”, których i na wsi czytać nie przestanę regularnie, że odezwa moja do czytelników nie pozostała bez skutku, że życzliwość ich dla mnie, którą cenię tak wysoko nie tylko słowami, lecz i czynami także się objawia. Cieszę się zawczasu myślą, że nadzieja moja nie będzie zawiedziona, wszak nie proszę o rzeczy niepodobne lub nawet trudne do wykonania. Wyobraźcie sobie tylko, czytelniczki i czytelnicy, jaka to będzie radość, i dla was, i dla mnie, jeśli za naszym wspólnem staraniem kilkoro przynajmniej biednej dziatwy pofrunie latem na wieś i mieć będzie prawdziwe wakacje. Zadowolenie wewnętrzne, żeśmy się do tego przyczynili, podwoi niezawodnie przyjemności, jakich sami na różnych letnich wycieczkach używać będziemy. Jakkolwiek pora jest już nieco spóźniona, bo wakacje za pasem, jednak i spóźnione datki się przydadzą; trzeba wiedzieć, że dzieci na kolonie letnie wysyłane są dwa razy, jedne wcześniej, drugie później, dla nich i jeden miesiąc przebyty na wsi dużo już znaczy.

O, bo one nie tylko dla przyjemności jadą na wieś, te biedactwa, lecz głównie, przedewszystkiem dla zdrowia; a przekonano się o dobroczynnych skutkach krótkiego nawet pobytu dzieci na świeżem powietrzu, gdyż każde z nich bywa ważone przed wyjazdem i po powrocie, oprócz tego mierzą ich siły za pomocą przyrządu, zwanego siłomierzem. I okazało się, że przybywa im po 6, 7, i 8, funtów wagi, siły także zwiększają się bardzo znacznie.

A cóż to za rozkosz dla tych dzieci, gdy się dostaną za rogatki miejskie! Czytałem kiedyś pamiętnik takięj wycieczki wakacyjnej, urządzanęj dla dziewczątek w Galicyi, spisany przez kierowniczkę kolonii, p. Jadwigę Zubrzycką. Już zaraz przy wsiadaniu do wagonu rozpoczyna się prawdziwe zachwycenie. Pomędzy temi dziećmi prawie żadne zwyczaj nie jeździło jeszcze koleją, niejedno nigdy w życiu za miastem nie było, drzewa zna tylko z ogrodu miejskiego, trawę ze starannie pielęgnowanych trawników, i wie, że po nich chodzić nie można. Wieś, to dla takiego biedactwa świat jakiś zaczarowany, o którym słyszało z opowiadań ludzi, „co tam byli i widzieli”. Dla nich las, łąka, zboże w polu, to takie same nadzwyczajności, jak dla was naprzykład puszcze i stepy amerykańskie, marzą o tój wycieczce letniej, jak wy czasem, czytelnicy, o podróży do Afryki, Australii, na drugą półkulę. Gdy nakoniec obaczą na własne oczy te wymarzone cuda, cóż to za podziwienie, co za radość! „Bocian, bocian żywy!” woła jedno. „Patrz, patrz! — dodaje drugie, to las! jaki ogromny, jaki ciemny! Czy tam są wilki?”

A teraz kończę, nie chcę już dziś żadnego innego przedmiotu poruszać, aby uwagi czytelników nie odrywać od tego,

co napisałem powyżej. Pozostawiam ich pod tém wrażeniem i czekam, co z tego wyniknie...

Polecam się życzliwości czytelników i czytelniczek serdeczny przyjaciel Kazio.

NA HUŚTAWCE.

Tuż w gaju za ogrodem,
Na huśtawce, w letnią ciszę,
Ocieniona liściem młodem,
Zosia lekko się kołysze.

Zosia wielce czytana
I myśląca jest dziewczynka,
Więc i myśl jej rozbujana,
A poważna przytém minka.

I tak myśli Zosia młoda:

— Dobrze mi tu bujać w gaju,

Bo na świecie jest pogoda,

U rodziców mi jak w raj;

Gdyby można całe życie

Tak przebujając na swobodzie,

Powinności należycie

Dopełniwszy w świętej zgodzie,

Nicbym więcej nie pragnęła,

I szczęśliwą była wiecznie,

Mickiewiczza tylko dzieła

Raz zdobywszy ostatecznie.

Ale... mówią mi rodzice

Że i w życiu różnie bywa,

Niby burze... nawałnice...

Że się w chmurkach piorun skrywa...

A więc trzeba zbroić wolę,

Zbroić rozum, wzmacniać siły,

Żeby dołą i niedołą

Mogły znieść i zwyciężyły!...

Zatém dosyć tej huśtawki!

Gdy mam zbroić serce, duszę,

Gdy nie mogę żyć jak trawki,

To do pracy wracać muszę!

M—a.

CHWILA SPOCZYNKU,

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE

przez Michała Krzemienia.

(Dalszy ciąg).

KAZIO.

No! stawaj w pozycyi! (*en garde*) bo palę!... (*zamierza się piłką*).

LUTKA.

Śliczny początek zabawy! proszę! taka komenda!

KAZIO.

Ale bo, mnie się zdawało, że z Bolkiem gram. Przepraszam. (*grając*). Raz... dwa... trzy!... (*za trzecim razem piłka rzucona przez Kazia trafia w jakąś szklanke na stole i tłucze zrzucając na ziemię*).

DZIECI.

Ach! Ach!

P. JÓZEFA (*z przyległego pokoju*).

A to co?

DZIECI (*żywo*).

Nic, nic, niech pani nie wstaje, to tylko ten pęknięty już dawno kubek do kwiatów dotłukł się teraz do reszty. Mała szkoda, krótki żal.

LUTKA.

Przechwalała pani naszą zrzeczność.

KAZIO.

E, bo to zawsze na nic, piłka w pokoju...

(*rzuca ją z gniewem w kąt i nogą odrzuca, gdy piłka wraca do niego. Lutka tymczasem zmiata szczotką ręczną skorupki w inny kąt*).

KAZIO.

Lepiej potańczmy.

LUTKA.

Pewno że lepiej.

KAZIO.

To służę pani!

LUTKA.

Ale trzeba chociaż śpiewać pocichutku, ja bez muzyki nie potrafię.

KAZIO.

Trzeba śpiewać, no!... na tę nutę, jak ciocia gra, co to się nazywa „Il baccio”... (*śpiewają oboje i tańczą*).

Skowronek, w poranek, w obłokach śpiewa,

Szeleszczą drzewa,

Szumi źródł!...

Ja choć nie ptaszyna śpiewam ze skowronkiem,

Cieszę się dzionkiem,

W poranek mój!

A jeśli niekiedy iza zwilży mi oczy,

Perłąką się stoczy,

Niechęący z lic...

To wszakże tak samo rosy perelka

Zwilża skrzydełka,

Nie szkodząc nic!

(*Dzieci tańczą walca, śpiewając coraz głośniej, aż nagle stają jak wryte*).

KAZIO.

Co to?

LUTKA.

A!... to panna Józefa tak ciężko wzdycha?...

KAZIO.

Głowa ją bardzo boli, a my za głośno śpiewamy!...

LUTKA.

E, bo to z tym tańcem, bawmy się lepiej w co innego. Może w szarady? Powiedz mi, co to jest co:

Z trzech zgłosek się składa,

Samo się nie jada,

A przy jedzeniu służy.

W formie małej i dużej;

Lecz pierwsze się jada,

Robi się z mleka:

Drugie trzecie nie lada

Przysmak, na który czeka

Zwykle przez obiad cały

Każdy, duży czy mały,

I Kazio i ja też:

Zgadnij, jeżeli wiesz!

KAZIO (*po namyśle*).

E, cotam łamać głowę! i w dodatku nieposłusznym być; panna Józefa kazała nam mieć ruch!

LUTKA.

Oho! nie zgadnie. To znaczy: ser-wety! A może tę pan Kazio zgadnie: pierwsze wąż, drugie sy...

KAZIO (*obrażony*).

Panno siostrze!... może ty tę zgadniesz: „Ostrego jęczyczka, zowie się, siostrzyczka”... kto to jest?

(*odwraca się, bierze książkę i udaje, że czyta. Lutka podchodzi do niego, dyga nisko, trzymając się paluszkami za suknię, potem składa rączki na piersiach i prosi cieniutkim głosikiem*).

LUTKA.

Panie braciszku, nie gniewaj się i nie czytaj, bo panna Józefa nie kazała czytać, a o gniewie powiedziano jest: nie daj zapaść słońcu na gniew twój przeciw siostrze.

KAZIO.

A nie! bo przeciw bratu!

LUTKA.

To też ja się na ciebie nie gniewam.

KAZIO.

Bo ja cię umyślnie nie obrażam!

LUTKA.

Ale bo widzisz, to jest nie do pojęcia, żeby mieć taką tępą głowę do zagadek! Ale już ja przepraszam i przyrzekam, że nigdy ani wspomnę o tém... tylko się nie gniewaj.

KAZIO.

A będziesz bawić się w konie?

LUTKA.

Będę! ale ja rzeć nie umiem!

KAZIO.

To już ja będę rżał za ciebie, doprawdy to nie do pojęcia, żeby też mieć taką tępą głowę i rzeć się nie móżdż nauczyć!

(Zarzuca Lutce ponsowe lejce, trzaska z biczem, rży potężnie i pędzą gwałtownie naokoło pokoju, rozrzucając krzesła po drodze).

P. JÓZEFA *(wołając z przyległego pokoju).*

Co to jest!

(Dzieci stają jak wryte, spoglądają na siebie, a potem wołają na wyścigi).

DZIECI.

Nic nie! Niech pani nie wstaje, to my w konie zaczęliśmy się bawić i rozjechaliśmy kilka krzeseł, bo zapomnieliśmy, że pani chora. Niech pani poleży, już będziemy cicho, jak trusie.

KAZIO.

Jak też ja mogłem tak się zapomnieć! *(składa lejce).*

LUTKA.

Trzebaby nam koniecznie jaką sobie grę stosowną obmyśleć, bo to przecież nie na raz sztuka, to się przyda.

KAZIO *(po namyśle).*

Już wiem! już mam!

LUTKA.

Co takiego?

KAZIO.

Grę! Grajmy teatr!

LUTKA.

O! do tego trzeba dużo przyborów!

KAZIO.

Otóż właśnie, prawdziwym geniuszom nic nie potrzeba. Ciocia opowiadała, że jeden wielki pisarz dramatyczny i aktor zarazem, w Anglii, zwany Szekspir, obchodził się bez wszystkiego, nadstawiając jedynie wyobraźnią i widzów zmuszając do tego potęgą swego natchnienia. Jak scena miała być w lesie, to napisał ogromnymi literami na tablicy „Las” i powiesił tę tablicę na scenie i już wszyscy wyobrażali sobie las, i było doskonale. Otóż i my tak zróbmy.

LUTKA.

Niech i tak będzie. Cóż będziemy grać?

KAZIO.

Horacyuszów i Kuryacyuszów! Jak się uczyłem tego opowiadania, ciągle myślałem, żeby to grać.

LUTKA.

Co też ty mówisz!

KAZIO.

A cóż? czemu?

LUTKA.

Alboż masz taką sztukę o Horacyuszach, napisaną do grania dla młodzieży?

KAZIO.

Nie...

LUTKA.

No, więc jakże chcesz grać?

KAZIO.

Oj ty głowo... do zagadek i szarad! Nie pamiętasz to, co nam ojciec opowiadał, jak dawniej, dawniej, sztuki teatralne we Włoszech grywano?

LUTKA.

Owszem... coś pamiętam...

KAZIO.

Aha, ale co? przypomnij sobie, czy tam grano tak, jak u nas teraz aktorzy grają i jak my gramy, wyuczywszy się dosłownie na pamięć z druku, albo z pisma?

LUTKA.

A... już wiem! Aktorzy nie uczyli się, obierali sobie tylko jakiś przedmiot, to jest treść główną i umawiali się o główne sceny, nie mając nic pisanego ani drukowanego i tak wychodzili na scenę, improwizując całe roznowy, i wszystko, stosownie do głównej treści.

KAZIO.

A widzisz! otóż i my tak zróbmy. Mamy Horacyuszów i Kuryacyuszów gotową całą treść, resztę improwizujemy grając. No, prędjiej, dalej, ja będę Horacyusz a ty, siostra jego oczywiście!

LUTKA.

Dobrze, ależ Horacyuszów było trzech, i Kuryacyuszów drugie tyle, zkądże ich weźmiesz?

KAZIO.

O, główko... z porcelany! wezmę ich z wyobraźni! wszak ci już powiadałem: wyobraź sobie oto, że to krzesło, na które rzucam palto ojca to jeden Kuryacyusz, a to drugie z maminym szalem, to drugi Kuryacyusz, a to trzeci! Tam pod ścianą to wszystko lud... tylko najgorzej z ubraniem... nie wiesz, jak się ubierali Rzymianie?

LUTKA.

No... nosili togi, a peplum nosiły Rzymianki.

KAZIO.

Hm, togi, to prawda, zapomniałem; toga to niby płaszcz.

LUTKA.

I jakoś się w to drapowali...

KAZIO.

Pożycz-no mi jakiego szala, albo spódniczki...

(Lutka przynosi z drugiego pokoju, albo z szafki żądane ubranie).

KAZIO.

Dobrze, otóż to chyba będzie niby toga, jak się tak w to udrapuję *(odziewa się fantastycznie, zarzucając fałdy na ramię)*. Tylko tu trzeba pewno prawą rękę wyjąć, żeby była swobodną do władania mieczem... Bierż-że peplum, Lutka!

LUTKA.

No, mam wprawdzie ubranie takie u sukni...

KAZIO.

Ależ to pewno nie tak nosiły Rzymianki!

LUTKA.

Właśnie, ojciec mówił, zdaje mi się, że na szyi.

KAZIO.

Więc odetnij od spódniczki i włóż na szyję! Oto nożyczki.

LUTKA.

Zaraz!... będę może nową suknię krajać! Nie potrzeba tego zresztą, bo jest to ubranie oddzielne... *(odejmuje ubranie od sukni)*. Ale cóż z tém zrobić?...

KAZIO.

Kiedy Rzymianki nosiły na szyi, to kładź na szyję!

LUTKA *(włożywszy)*.

Już!

KAZIO.

Teraz grajmy! *(porywa dużą liniję lub kij, staje w szermierskiej pozycji przed jednym z krzeseł, które nazwał Kuryacyuszami i krzyczy, wymachując liniję)*. Rycerzu! zacny Albanie Kuryacyuszu! kocham cię, jak brata, ponieważ jesteś narzeczonym siostry mojej, ale odkąd losy nakazały mi

walczyć z tobą o przewagę Rzymu, jestem twoim wrogiem!
Milszy mi Rzym, niż siostra i ty, broń się! *gwałtownie naciera na krzesło*).

LUTKA.

Stój! czekaj!

KAZIO (*z oburzeniem, wznosząc linię*).

Co?... ty! Rzymianka, ty przeszkadzasz mi walczyć

LUTKA.

Ale bo ja nie grałam jeszcze!...

KAZIO.

I wiesz... tak mi się okropnie zrobiło, jak cię miałem
ciągnąć mieczem... Jabym nie mógł być Horacyuszem...
a przecież on był wielki człowiek, więc ja jestem mały, to
wstyd!



Na huśtawce (str. 195).

z nieprzyjacielem Rzymu!... Giń raczej, niżbyś miała plamić imię Horacyuszów!...

(*zamierza się na nią jej linią*).

LUTKA.

Ale nie, jeszcze nie, ja nie twoja... to jest ja nie Horacyuszówna jeszcze jestem, ja nie gram, tylko chcę się umówić, spytać...

KAZIO.

Co? Nie grasz?... (*ociera czoło*) a ja tak ślicznie zacząłem... ale ty rzuciłaś się jeszcze za wcześniej!...

LUTKA.

Co też ty pleciesz! Widzisz! Gdyby panna Józefa słyszała, toby z pewnością powiedziała ci: „Otóż to są złe skutki ze słabości nauczycieli, takich chorowitych jak ja, którzy pozwalają dzieciom samym na ich prośby, czytać rzeczy, których one jeszcze nie rozumieją.

KAZIO.

No... albo co?

(d. n.)

Z OPOWIADAŃ WETERANA.

Że to redaktorowie przyjmują takie artykułiki mówił generał D. do nas, siedzących u niego na wsi przy kominku, przy poobiedniej kawie jak ten, w którym tyle ubolewania, że terminator na szewca, musi pani majstrowej nosić wodę, łupać drzewka i pomagać w czym może a umie; myśmy gorsze rzeczy przechodzili.

Takiego pana zapakowałbym, do naszego półku szwoleżerów, pod naszego Gros-majora *) d'Autancourt'a, a jakby tam zobaczył, że i nie jeden Radziwiłł, Sapieha, Potocki, musiał jak każdy z nas z początku wstawać w nocy, zadawać koniom obroki, konie czyścić, czasami za karę i gnój wyrzucać łopata, dopieroby poznał, co to każdy termin i jak dalece on ciężki.

W domu co rano poczciwa ciotka moja Józefa, wywoławszy mnie z ciepłego i wygodnego łóżeczka, zasadzała nad wyborną kawą, i jeszcze grymasiłem niekiedy że bułeczki nie dosyć smaczne.

Tu w półku o czwartej rano, trębacz trąbił mi nad uchem, trzeba było wstawać i wyciągać z konia zgrzeblę regulaminowych dwadzieścia cztery brudu kresiek; inaczey nie dostałś śniadania, po które pół mili trzeba było chodzić. A co to tam za śniadanie!

Splakałaby się niezawodnie, patrząc na naszą dolę, i ta poczciwa ciocia, i wiele z dzisiejszych poetek, sentymentalnych autorek. Jednak nie mogło być inaczey, bo nie na świecie *bez łez, cierpienia, poświęcenia, ofiary, nauki, prób i pracy* nigdy nie przychodziło i nie przychodzi.

Ten d'Autancourt, był uosobieniem ostatnim wyrazem służbistości i karności wojskowej, a jak był człowiekiem zacnym i dobrym, tak wściekał się prawie z gniewu, skoro dostrzegł najmniejsze uchybienie przeciw regulaminowi, z którym sypiał i umiał go na pamięć. Pamiętam: lubo ledwo miałem lat siedmnaście, byłem już wachmistrzem, kiedy nakazał przegląd moderunku całego szwadronu.

Nie spałem, nie jadłem, aby wszystko mieć w porządku, i z radością dostrzegłem, że u mnie najładniej wyczernione skóry, najlepiej wypolerowane munsztuki, podkowy.

Rad z siebie, zapomniałem, że d'Autancourt miał za zasadę nigdy nie pochwalić młodego, mówiąc, że to go zaraz psuje. To też gdy na przeglądzie stanął przed moim oddziałem, widziałem z jego oczu, że mu się wszystko podoba, jednak sucho rzekł:

— To nieźle, ale mogło być jeszcze lepiej.

Zapomniałszy się, ośmieliłem się zapytać, gdzie znalazł lepiej, abym mógł mieć wzór.

A ten jak nie zaklnie, jak na mnie nie huknie po francuzku.

— *Sacrebleu!* Co tobie do tego młokosie? Mleko masz pod nosem i śmiesz pytać starszych? Jak mi nie będziesz miał wąsów, każę cię wpakować na dwadzieścia cztery godziny do aresztu **).

Nazajutrz wypadło przed naszym dywizjonerem wystąpić, cóż ja robię, oto kupuję u fryzyera parę olbrzymich wąsów, przypinam je do nosa, jak aktor jaki, i tak siadam na koń, i wyjeżdżam na paradę. D'Autancourt, lustrując nas przed generałem, dostrzegł zaraz tej zmiany i marszcząc srogo brwi pyta:

— Młokosie co znaczą te wąsy?

— Półkowniku, odpowiadam z miną najwięcej seryo, bo biada, gdyby się kto w służbie zaśmiał, i tego niewolno. Wyrosły na rozkaz, w ciągu dwudziestu czterech godzin.

*) czyli półkownika, właściwie dowódcy półku, bo generał Krasinski, wiecznie przy boku Cesarza Napoleona będący, był nominalnym, honorowym Szefem naszego półku Szwoleżerów Gwardyi.

**) W aresztach żołnierskich całkiem nie było łóżek, a siedzieć można było tylko na baryerce kanciastej, jeśli to można było uważać za jaki odpoczynek, od słońca dogodniejszy.

— To dobrze, bardzo dobrze; wszystko powinno iść po dług rozkazu, dla żołnierzy i dla wszystkich — mówił starszy wiarus, uśmiechnięty.

Po skończonej paradzie przed generałem, adjutant pułku wy, szepnął mi na ucho:

— Stary was do siebie na objad prosi.

— Ależ ja cały przejęty odorem konia i stajni, odpowiadalem.

Nasi panice mają oddzielne do salonu ubrania, ja ubog nie mam na nie.

— Damy — odpowiadał — wojskowe nie tak czule, ja inne, odor ten nazwały bohaterskim — przytem dodał, nachylając głowę groźny dowódca — *Sacrebleu!* to rozkaz! przeciw niemu co gada, rozstrzelany!

Musiałem więc do kwatery naszego Gros-majora się stawić i zasiąść w nieprzyzwoitej stajennej toalecie za jego stołem.

Były tam sproszone do kompanii generałowej dywizyi, generałowe brygady, półkownikowe i inne damy, odznaczające się oglądą i wykształceniem, pomimo że mężowie ledwo porucznikami byli.

Przy końcu obiadu, d'Autancourt zapytuje generałową siedzącą naprzeciw:

— Ile też pani generałowa daje lat wachmistrzowi — mnie palcem wskazał — co siedzi na ostatnim miejscu.

Generałowa spojrzała na mnie i mówi:

— Wygląda nadzwyczaj młodo. Ależ te wąsiska godne starego brygadiera z żandarmeryi, nie pozwalają mi się zorientować.

— Bo — odrzekł mój faktyczny dowódca półku z uśmiechem satysfakcyi — to są wąsy, co mu na rozkaz, według regulaminu wyrosły przez dwadzieścia cztery godziny. U mnie w półku tak jest. Kto nie słucha kula w łeb: posłuszeństwo u nas wojskowych jest tak samo jedyną cnotą, jak u matek co się jej domagają u dzieci. Bez posłuszeństwa rozkazów starszych, nie może być nic na świecie.

— Nigdy na chwilę nie narzekałem, mówił dalej generał, na surowość przewodnika mojej młodości. Dzięki jej, przeszedłem Berezynę w czterdzieści koni, gdy panice rozkoszniej i po cztery nie mieli.

Wcześniej dzieci obznajmiać z tą myślą należy dodać, że ani termin, ani nauka, ani służba, to nie družba, nie radość i nie wesele żadne; zamiast bawić i podniecać ich umysł, mrzonkami, o których chyba i autorowie tych dziwadeł wiedzą, że w praktyce życia, nie warte jak to po dawnemu mawiano i niucha poczciwego tabaki. Dlaczegoż w tak ważnych rzeczach nie być właśnie pozytywnym i nie obiecywać gruszek na wierzbie młodym a niedoświadczonym; bo ci niezawodnie wprzód czytają te ideały od ksiąg co im zbyt surową prawdą wypowiadają.

Wielkiślar.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dokończenie).

— Mylisz się pan — mówiła dalej po chwili — ja nie jestem two zapominam, a raz zaciągnąwszy dług wdzięczności, do śmierci o nim pamiętać będę... Lecz pan zapewne pójść tego nie możesz, aby dziewczyna, pochodząca z rodu dzikich krajowców, mogła mieć uczucia szlachetniejsze, ... ja to wiem ludzie biali pogardzają nami...

— O nie, to pani się mylisz — przerwał Ned z żywością niezwykłą — niesprawiedliwą pani jesteś dla mojej rodziny... i dla mnie... my nigdy nie zapomnimy o tém, coś pan

ni uczyniła dla nas. Jesteś pani najlepszą, najszlachetniejszą kobietą, zasługujesz na uwielbienie, i potrafiłbym ci tego dowieść, gdybym miał tylko trochę dolarów... Na nieszczęście nie mam teraz ani jednego, więc muszę to odłożyć na później...

Co to miało znaczyć? Mała królowa nie zrozumiała, lecz zagadkowe słowa Neda dały jej do myślenia, zastanawiała się nad nimi, aż póki nie stanęli u wejścia pałacu.

Wszystko tam było w porządku w czasie nieobecności królowej. Wierni jej poddani rozebrali już zupełnie wieloryba, stary wódz Amagua bardzo roztropnie rządził państwem w charakterze regenta, mogła więc Okaszlu spędzić bezpiecznie jeszcze dni parę w towarzystwie swoich przyjaciół.

Madzia i Henryk widocznie nie powiedzieli sobie jeszcze wszystkiego, co mieli na sercu, gdyż znowu poszli naprzód, zmiierzając z powrotem do okrętu, Okaszlu pozostała w tyle z Nedom, który po namyśle uważał za stosowne wytłómaczyć jej wyraźniej, co by zrobił, gdyby miał trochę dolarów w zapasie.

— Mam pani coś do powiedzenia — rzekł bez długich omówień — chciałbym zapytać, czy zgodziłabyś się pani za jakich lat parę zamieszkać w Nowym Yorku, jako żona uczciwego obywatela amerykańskiego?

— Ja? — odrzekła Okaszlu drżącym głosem — czy znalazłby się taki obywatel amerykański, co by chciał wziąć za żonę nawpół dziką dziewczynę?

— Czemu by się nie znalazł? Znam nawet takiego, któryby z dumą i radością podał pani rękę. Na nieszczęście w tej chwili brak mu do tego dolarów. Ale co tu w bawęnę obwijać, tym obywatelem jestem ja sam.

— A czy dolary koniecznie do tego potrzebne? — zapytała Okaszlu, ochłonawszy z gwałtownego wzruszenia.

— Ba! u nas bez dolarów niepodobna się utrzymać z rodziną.

— Na to są przecież sposoby — mówiła mała królowa w zamyśleniu — dolary zarobić można. Czemużbyś pan zresztą nie miał się wzbogacić tu, w moim kraju, gdzie ziemia leży odłogiem i tyle jest bogactw, z których dziś nikt nie korzysta? Biedni moi rodacy nie potrafią wyjść ze stanu ciemnoty i uposłedzenia, póki się nie znajdzie człowiek rozumny i przedsiębiorczy, który pokieruje nimi, wprowadzi ich na drogę cywilizacji. Marzyłam ja o tym sama, lecz zadanie to przechodzi siły kobiety: dzielnego mężczyzny na to potrzeba, dobrego, odważnego, cierpliwego... sędzę, że pan byś to potrafił, panie Nedzie, czy nie zechcesz spróbować?..

— Na honor! czemużbym nie miał spróbować? — zawołał młody Yankes wesoło — Zależy to od pani, jestem gotów i jeśli przyjmiesz moje rękę...

— Przyjmuję z całego serca — szepnęła mała królowa i rękę złożyła w jego dłoni.

Były to zaręczyny młodej pary.

„Włóczęga” popłynął dalej, wkrótce przybił do wyspy, gdzie rozbitki widzieli owę niezmierną ilość fok, spadających lawiną do morza. Kapitan Simpson odzyskał prędko wesołość, naładowawszy okręt swój po brzegi przepyszny futrami. Mógł on teraz wygodzić wszystkim kupcom w Nowym Yorku i opatrzyć na zimę w ciepłe ubranie wszystkie panie, tam mieszkające.

Nas jednak interesa handlowe kapitana Simpsona mniej daleko obchodzą, niż przyszłość naszych znajomych. Ned jest już spokojny, wie on, że Okaszlu tęskni do życia cywilizowanego, i że jako uległa i kochająca żona chętnie z nim pójdzie wszędzie, gdyby mu się uprzykrzył pobyt w Ziemi Ognistej. Postanowił jednak spróbować, czy mu się to posłannictwo, o którym marzy młoda królowa powie dzie w jej kramie.

Najpierw zwierzył się rodzicom, a gdy ci zamiary jego pochwalili, Ned rozpoczął długie narady za Seagriffem i innymi majtkami. I stanęło na tém, że stary cieśla pozostał z nim na ziemi Teneków; pięciu dzielnych marynarzy z załogi okrętu Kalypso przyłączyło się do nich także.

„Włóczęga” podniósł wreszcie kotwicę i opuścił wybrzeża Ziemi Ognistej, a pewnego pięknego dnia w połowie Października przycył do Nowego Yorku.

Niestety! nie możemy ukrywać smutnej prawdy. Kapitan Ganey zawiódł się bardzo na kolezce swoim kapitanie Simpsonie, którego szlachetności zaufał, gdyż ten ani pomyślał o wywdzięczeniu się za cenne wskazówki, otrzymane od rozbitków. Najprostsza sprawiedliwość nakazywała, aby im dał jakiś udział w zyskach, osiągniętych ze sprzedaży tych fok, których byłby nie obaczył nigdy bez ich pomocy.

Chytry Yankes w ciągu podróży zapomniał zupełnie o tej drobnej okoliczności, nigdy ani słówkiem o niej nie wspominał, nie okazał nawet tyle grzeczności, aby ofiarować żonie i córce kapitana Ganeya po kawałku futra na zarękawki. Nie dość na tém, po przybyciu do Nowego Yorku zażądał od rozbitków zapłaty za to, że ich przywiózł na swoim okręcie.

Najgorzej wyszedł na tém nasz Henryk. Zrzuciwszy pychę z serca, musiał się zaciągnąć jako prosty majtek do załogi okrętu angielskiego, który odpływał do portu Portsmouth. Żeglarze nieraz bywają narażeni na takie niespodzianki. Lecz Heryk był pełen rezygnacji, nie martwił się zbytecznie swém niepowodzeniem, pewny był, że przy wytrwałości wynagrodzi je z czasem. Kapitan Ganey miał zamiar niezadługo urządzić wyprawę do Ziemi Ognistej, do wyspy fok, których kapitan Simpson przecież nie wytepił do szczętu. Że ta wyprawa nie mogła się odbyć bez współudziału Henryka, o tém i wspominać nie potrzebujemy.

Ale przygotowania do tej nowej podróży nie mogły być ukończone w jednej chwili, mógł więc Henryk tymczasem udać się do ojczyzny i obaczyć z rodziną. Po sześciu latach nieobecności biedny chłopiec powracał z niczem.

Dnia pewnego w Grudniu duży, silny chłopak w ubiorze marynarskim, dążył pieszo gościńcem, wiodącym do wioski Godal i zastukał do drzwi schludnego domku. Służąca otworzyła, lecz nie poznała przybysza i zapytała, czego żąda. On nic nie odpowiedział, tylko wbiegł spiesźnie do małej salki jadalnej i upadł na kolana przed fotelem, na którym siedział siwy staruszek, wygrzewając sobie nogi przy ogniu.

— Ojczy, rzekł, wyciągając doń ręce, czy mnie nie poznajesz?

Staruszek zadrżał, po chwili uśmiech ukazał się na jego ustach, a łza spłynęła po pomarszczonej twarzy.

— A!... to ty, chłopcze! jak widzę, nie jesteś jeszcze admirałem.

Od tej jednej złośliwej uwagi powstrzymać się nie mógł stary ojciec, lecz jednocześnie otworzył ramiona i z serdecznym uczuciem przycisnął do piersi marnotrawnego syna. Nie będziemy opisywali powitania bohatera naszego z matką i siostrzyczką Emilcią. Nie przywiózł on im wprawdzie obiecanych gościńców, lecz domyślacie się zapewne, że nie miały mu tego za złe.

Henryk w pokorze przyznał się do winy i przeprosił ojca za to, że się sprzeciwił jego woli. Opowiadał z całą szczerością, jak w ciągu tych lat sześciu trażyły go ustawicznie wyrzuty sumienia, nie był nigdy zupełnie szczęśliwy, nawet wówczas, gdy mu się najlepiej wiodło, a niepowodzenie obecne uważał za słuszną karę którą sam ściągnął na siebie nieposłuszeństwem.

— Miałem odrazu najgorsze przeczucia, wstępując na pokład tego okrętu i sprawdziły się w zupełności — mówił raz do matki i siostry — a niejestże to szczególne zrządzenie Opatrzności, że jedyny dobry uczynek, jaki spełniłem dnia tego, stając w obronie biednej dziewczyny, nie pozostał bez nagrody i uratował mi życie? Zresztą wszystko mię zawiodło, nawet odkrycie najbogatszej kopalni futer, na nic mi się nie zdało. Bo nie było w tém wszystkim błogosławieństwa ojcowskiego. Na tym świecie, jak sobie kto pościele tak się wyśpi. Przed sześciu laty byłem dzieckiem, nie rozumiałem tego, dziś jestem człowiekiem dojrzałym i oczy mi się otworzyły.

Henryk nie tylko słowami, lecz czynem dowiódł, że winy swęj szczerze żałuje i pragnie ją naprawić. Gdy więc kapi-

tan Ganey dał mu znać że ma już drugi okręt i wzywał go, aby przybycie swoje przyspieszył, młodzieniec zaniósł list ten ojcu i rzekł:

— Bez pozwolenia twego i błogosławieństwa, ojeze, nie puszcę się za nic w powtórny podróż, bo jestem pewny, że nie wyszłoby mi to na dobre.

Staruszek jednak tym razem już się nie opierał, przekonał się, że to było powołanie prawdziwe i Henryk zupełnie spokojny i szczęśliwy puścił się znów na morze.

Przecucia jego sprawdziły się zupełnie, nie doznał w tej drugiej podróży tylu przygód nadzwyczajnych, lecz za to odniósł większe korzyści. Kapitan Ganey powrócił na czas dłuższy do Nowego Yorku, prrtrzebował on już odpoczynku, Henryk więc przyjął miejsce porucznika na statku wielorybniczym i znów wyruszył na daleką wyprawę. Kapitan tego okrętu zachorował i umarł w drodze; młodzieniec go zastąpił i tak świetnie się wywiązał z tego obowiązku, że właściciele okrętu utrzymali go na stopniu kapitana i do wspólki przypuścili. Miał więc już teraz Henryk stanowisko, które mu pozwalało sięgnąć po rączkę Madzi. Nie zwlekał długo, oświadczył się i był przyjęty.

A tymczasem Ned z pomocą Seagriffa i innych towarzyszy ogromne zmiany zaprowadził w państwie Teneków. Stary cieśla zbudował pyszny trójmasztowiec, spuszczone go na wodę i pewnego pięknego poranku statek ten, któremu nadano nazwę: „Nowa Kalypso”, zawitał do Nowego Yorku, wioząc małą królową Okaszlu i jej narzeczonego.

Dwa śluby odbyły się razem, a nie potrzebujemy dodawać, że wyprawa jednej i drugiej panny młodej obfitowała w przeszliczne futra. Spory też zapas posłano w upominku Emilci.

Nieustanne stosunki zawiązały się teraz pomiędzy Nowym Yorkiem i Ziemią Ognistą. Ned z żoną przebywa kolejno, to w jej rezydencji, to w Nowym Yorku. Ziemia Teneków zamieniła się w kwitnącą osadę, coraz więcej Europejczyków przynosi się tam na mieszkanie, a królowa Okaszlu czuwa nad tem troskliwie, aby biali osadnicy żyli w przyjaźni z krajowcami i żadnej krzywdy im nie czynili.

ROZMAITOŚCI.

Zabawa wakacyjna. Nie każdy ma ochotę zbierać i zaszuszać rośliny w zielniku, a jednak wielka to przyjemność zachować jakąkolwiek pamiątkę z wycieczek wakacyjnych. Podajemy tu czytelnikom naszym łatwy sposób urządzenia ładnego zbioru botanicznego, który ma także swoje wartości, chociaż zielnikiem nie jest. Bierze się gładki talerz fajansowy, dno jego powleka się za pomocą pendzla lub kawałka waty lekką warstwą oliwy. Następnie trzyma się talerz nad świecą zapaloną, przesuując go w taki sposób, aby sadza przylgnęła wszędzie do oliwy i pokryła fajans czarną, jednostajną powłoką. A teraz umieszcza się na tej warstwie sadzy liść roślinny, przyciskając go na całej powierzchni palcami. Następnie należy ten liść odjąć ostrożnie, położyć go na ćwiartce białego papieru i tak samo porządnie przycisnąć. Liść zostawi na papierze bardzo dokładne odbicie, wszystkie ząbki, żyłki, zaznaczają się najwyraźniej. Zbiór liści rozma-

tych wielkości i kształtów, odbitych tym sposobem, jest bardzo ciekawy i zajmujący. Polecamy tę zabawkę czytelnikom naszym na lato.

SZARADA.

(Gwiazdeczka z nad Wilgi).

Moje *pierwsze* szybko płynie,
Ale nie w naszej krainie;
Druga z trzecią nas raduje,
Miłą porę oznajmuje,
Krówka, konik w niej smakuje,
Pokarm posilny znajduje.
Wszystko codzień zwykle mamy,
Gdy dobra, smacznie zjadamy,
Gdyż ona wzrost, siły daje,
Bez niej i życie ustaje.

Łamigłówka zgłoskowa (Łania).

Z następujących zgłosek: a—f—ga—go—ki—ków—kwa—
—las—mal—mul—ol—on—ro—rie—san—ta—wiec—york—
ułożyć wyrazy: 1. Wehikuł. 2. Miasto w Anglii. 3. Mineral. 4. Imię kobiece. 5. Miasto w Galicyi. 6. Jezioro w Ameryce. 7. Zwierzę. 8. Zbiór drzew. 9. Miasto nad morzem Śródziemnym, słynne bogactwem w wiekach średnich. Początkowe litery od góry do dołu utworzą pseudonym poety polskiego, a końcowe nazwisko drugiego poety, złączone spójnikiem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady:

Hu — la — ty — ka.

Łamigłówki nowéj:

G e ś l a r z
o j c i e c
s a n k i
z n ó w
c e
z
s y
u m a ñ
r o d o s
a l a r y k
N a l e w k i

Goszczyński — Naruszewicz.

TREŚĆ: Listy z Warszawy (z drzew.) — Na huśtawce wierszyk (z drzew.) p. M—a. — Chwila spoczynku, komedyjka w jednym akcie p. Michała Krzemienia. — Z opowiadań weterana p. Wielisława. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Nieroztropny Michaś (z drzew.) — Władysław M. wiersz p. Gabriele Puzyninę. — Figiel dla Jadzi z Klesztowa p. Adę. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.

Nieroztropny Michaś.

Nieładnie to bardzo, zwłaszcza dla chłopczyka, gdy go nazywają tchórzem. Ale co innego jest tchórzostwo, a co innego nieroztropność. Tchórz, to ktoś taki, co się boi rzeczy wcale nie strasznych, naprzykład ciemnego pokoju, niewinnego owadu; ba! są na świecie dzieci, co się boją nawet zimnej wody. Ale kto bez żadnej potrzeby naraża się na niebezpieczeństwo nie zważając na przestrogi, nazywa się nieroztropnym.



Nieroztropny Michaś.

Michaś biegał raz po ogrodzie z braciszkiem Jasiem i siostrzyczką Manią. Ogrodnik ustawił przy drzewie drabinę, bo miał obcinać zeschnięte gałęzie, poszedł właśnie po narzędzia swoje, a przy drabinie nie było nikogo..

— Wejdźmy po drabinie — zawołał Michaś — to tak będzie ślicznie siedzieć tam sobie wysoko na drzewie.

— Ej, daj pokój — rzekła mała Mania — wiesz dobrze, Michasiu, że mama nie pozwala łązić po drabinach. Może się przewrócić i pospadamy...

— Tchórz! tchórz! — przerwał Michaś z pogardą — te dziewczęta to zawsze takie tchórze. Ale ty, Jasiu, przecież się nie boisz?

— O nie — odezwał się Jaś rezolutnie — ja nie tchórz. I wlaź Michaś pierwszy na drabinę, za nim śmiało ruszył braciszek, a w końcu i Mania zaczęła wlaźć na

pierwszy szczebel, bo jój wstyd było, że ją tchórzem nazywano. Lecz niestety! drabina się zachwiała, spadła, a z nią razem i nieroztropna dziatwa. Michaś potłukł się najwięcej, bo najwyżej siedział, Mania tylko się przewróciła na ziemię, ale wstała natychmiast i pobiegła do mamy, wołając o ratunek.

Na ten raz nic się bardzo złego nie stało, Michaś oberwał parę guzów, Jaś tylko jednego, mama się prędko uspokoiła i porządnie wylażała Michasia, bo nie pierwszy to już raz mu się zdarzała taka swawola.

— Pamiętaj zawsze — mówiła mama — że to zupełnie co innego tchórzostwo, a co innego nieroztropność. Wstydy mi było, żeby mój syn był tchórzem, ale nie chcę także, żeby był nieroztropnym.

Władysław M.

Władysia serce, to serduszko złote,
Co ma, to musi z innymi podzielić;
Jeśli na przyszłość zachowa tę cnotę,
To się bez bliźnich nie będzie weselić.

Pewnego razu przychodzi z gościny,
I nie z próżnemi rękoma powraca,
Bo w obu rączkach miłego chłopczyzny
Parę się dużych pomarańcz pozłaca.
Idzie do mamy i podaje skromnie,
Mama dziękuje, lecz daru odmawia.
— Już dosyć, mówi, żeś pamiętał o mnie.
I Władysław więcej swój prośby nie wznawia,
Wie on, że mama, co powie, dotrzyma,
Lecz i on także, co dał nie odbierze,
I skoro mamy już w pokoju niema,
Władysław, na dowód, że co dał, to szczerze,
Kładzie wśród innych pomarańcz i swoje,
Mówiąc do siebie: — Mama nie spostrzeże,
Biorąc owoce, natrafi na moje!

Lecz ciocia z boku słyszała, dostrzegła
Tę delikatną Władysia ofiarę,
I siostrę swoją o zdradzie ostrzegła,
I dziś ogłasza postępek, za karę.

Gabryela Puzynina.

FIGIEL

DLA JADZI Z KLESZTOWA.

Nacia miała lat dziesięć, oczki śmiejące, buzię rumianą; zawsze wesoła, żywa, usłużna, byłaby bardzo milutka, gdyby nie... ach! wszędzie to nieszczęsne gdyby!... otoż gdyby nie lubiła zbyt wiele figielków, często nawet troszkę złośliwych. Wprawdzie mała swawolnica żało-

wała bardzo, gdy komu przykrość sprawiła, obiecywała poprawę, ale w jednej chwili zapomniała szczerego na razie postanowienia.

Siostra jej Kazia, już czternastoletnia, była o tyle rozsądna, zastanawiając się nad każdym swym czynem, każdym niemal wyrazem, o ile Nacia była swawolna i roztrzepana, to też często starała się przestrzegać młodszą od siebie siostrzyczkę, lub naprawić jej psoty; Nacia kochała Kazię serdecznie i pomimo wrodzonej żywości, uznawała zawsze słuszność jej przestrogi.

W ciepły dzień wiosenny obie siostrzyczki wyszły na przechadzkę w pole: słońce ciepło przygrzewało, śnieg stopniał do reszty, nad stodołą krążyły bociany, dziewczynki, minawszy wieś odetchnęły pełną pierś świeżym wiosennym powietrzem. Zdążając miedzą ku łące pod lasem, Nacia dostrzegła pod krzakiem tarniny parę zniszczonych, zabłoconych butów.

— Patrz, Kaziu! — zawołała — buty jak grzyby wyrosły pod krzakiem.

— Dziecko z ciebie, Natałko! — odpowiedziała Kazia z powagą — możesz się przecie domyśleć, iż buty te są własnością wieśniaka, który tam orze. Patrz, to Jakób, widać go tam za jabłonią, zapewne wkrótce po buty przyjdzie, ponieważ południe blisko.

To mówiąc, spojrzała na piękny swój zegareczek, ostatni dar imieninowy od ojca.

— Masz słuszność — przyznała Nacia — to pewno jego sandały. Ale... możemy wypłatać figla Jakubowi! czy zgadzasz się?...

— Muszę wprawdzie wiedzieć, o co idzie.

— Nie domyślasz się? schowajmy mu buty pod inny krzak, a potem będziemy się śmiać z jego zakłopotanej miny, gdy ich tu na miejscu nie znajdzie. O to będzie zabawnie. Cóż ty na to!

— Nie uważam za dobre narażać na stratę czasu człowieka, zmuszonego pracować na życie.

— Ach! jak ty się zaraz nad wszystkiemi zastanawiasz! przecież on tak długo butów nie będzie szukać, trzy kroki dalej pójdzie, to dużo czasu mu nie zabierze; cóż więc szkodzi pośmiać się chwileczkę?

— Zastanów się, Naci, czy może być przyjemnie widzieć czyjeś zakłopotanie? Jeżeli ci jednak chodzi o wypłatanie Jakubowi figla, to mogę ci doradzić lepszy od twego.

— Włóżmy w każdy z butów po złotówce i schowajmy się prędzej, bo oto już nadchodzi.

Pomysł starszej siostry podobał się Naci, po chwili każda z pańienek wrzuciła w każdy but po złotówce, a potem skryły się za największy krzaczek tarniny, z kądem mogły patrzeć niespostrzeżone. Jakób zbliżał się powoli ze spuszczoną głową, widocznie w smutnych myślach pograżony lub zmęczony pracą. Wciągnął szybko but jeden... czuje jakiś niezwykły przedmiot pod podeszwą... ściga but, wytrząsa go... z kądem się wzięła srebrna złotówka? Przeżegnał się zdumiony. Nacia za krzakiem całą ręką zakryła buzię, by nie parsknąć śmiechem. Wieśniak podniósł złotówkę, oglądał ją uważnie, nie rozumiał widocznie, z kądem się ona wzięła. Gdy w drugim bucie znalazł to samo, oblicze jego zajaśniało radością, łzy błysnęły w oczach i zawołał głośno:

— Bóg zapłać temu, kto mię tak udarował, Bóg zapłać! kupię chleba i starczy go dla mnie i dla dziatwy aż do sobotniej wypłaty... Bóg zapłać!

I weselszy wrócił do pług, i żwawo ruszył ku wsi, rad, że na cztery dni zabezpieczy rodzinę od głodu.

— Cóż myślisz, Naci — zapytała teraz starsza siostrzyczka — czy mój figiel nie lepszy od twego?

— O! lepszy, Kazieczko, bez porównania lepszy! Już wiem teraz, iż największej radości doznajemy wtedy, gdy bliźnim dobrze czynimy.

Ada.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

— Cóż, czy spróbował? — zapytał Zielonko i oczy mu nagle zabłysły z zadowolenia — to musiało być daleko ciekawsze, teraz już opowiadanie twoje, mistrzu, naprawdę mię zaczyna zajmować.

— Obawiam się, miłośniwy królewiczu — mówił z uśmiechem Abrakadabrus — abyś się nie rozczarował. Ja także tak samo, jak i ty, zawołałem: ach! to musi być daleko ciekawsze. Tymczasem zadziwiłem się do najwyższego stopnia, bo przyjaciel mój odpowiedział, że robił już nieraz rozkład najrozmaitszych ciał roślinnych, i zwierzęcych także, a we wszystkich znalazł prawie jedno i toż samo, i to wcale nie ciekawe rzeczy. Nie chciałem wierzyć, ale on mi dowiódł, że tak jest naprawdę, pokazał mi to, co wydobył, i z kawałka drzewa, z ziarenka zboża, z liści zielonych, z różnobarwnych kwiatów, wreszcie z mięsa i skóry zwierząt.

Co do zwierząt, nie obchodzi mnie to wcale — rzekł Zielonko — ale ciekawy jestem niezmiernie, co on tam odkrył w różnych częściach roślin. Powiadasz, mistrzu, że jedno i to samo? Ależ to niepodobna. Nigdy w to nie uwierzę, aby w tej przepysznej róży, w tych kameliach, goździkach, było toż samo, co w szarém, twarżym drewnie, a w soczystych ananasach, brzoskwinia, winogronach, toż samo, co w tych suchych korzonkach perzu, które ogrodnicy moi wrywają starannie.

— Cóż dziwnego, miłośniwy królewiczu, że ci w to trudno uwierzyć. Ja przecież, jak ci już o tém wspominałem, zapoznałem się na Wschodzie z rozmaitemi sztukami magicznymi i czarodziejskimi, a jednak także z trudnością przekonać się dałem w obec tych cudów. Rzecz jednak nie ulega żadnej wątpliwości. Rośliny wychodzą z ziemi, zapuszczają w nią korzenie, łodygi zaś i gałęzie rozpościerają w powietrzu, i tym sposobem wzrastają, powiększają się. Z kądem więc biorą do tego materyał? Jeśli kto dom buduje, układa kamyczek na kamyczku, cegiełkę na cegiełce, póki się z tego mur nie zrobi. I drzewo, i krzew ozdobny, i ziółko najskromniejsze, nie może przecież powstać inaczej, w każdej roślinie muszą się układać jedna przy drugiej drobniuteńkie, nie-dojrzone cząsteczki, aż póki z tego się nie ułoży korzeń, łodyga, liście, kwiaty, owoce.

Homonimów:

Wieprz rzeka i wieprz zwierzę.

Skrzynka do listów.

Gwiazdka z Małej Rusi. Dziś już niepodobna sobie przypomnieć, jaki to był rubel, to tylko pewna, że wszystkie datki są porządnie zapisywane i oddawane według przeznaczenia, a ofiary na kolonie letnie przy samym końcu osobno wyliczone. Powinaby Gwiazdka napisać tym chłopczykom, że to wcale nie ładnie dla mężczyzn nie mieć nawet na tyle odwagi.

Kamelia różowa musi być troszeczkę roztargniona, wspomina o opłacie za kwartał, zapomniała jednak pieniędzy włożyć w kopertę. Co do wypracowania, ach, Kamelio kochana! czyż nie pisaliśmy wyraźnie, że przeszło sto wypracowań nadeszło, niepodobna więc było wszystkich wspomnieć i tylko na najlepszych musielimy poprzestać; to przecież jeszcze nie znaczy wcale, że tym, którzy nie byli wzmiankowani, wypracowania się nie udały. Zdziwiło to nas troszeczkę, że Kamelia w tym wieku jeszcze się dziejów literatury nie uczy, ale to chyba niezadługo nastąpi i wówczas do wszystkich konkursów będzie mogła należeć.

Orzeł z nad Niemna pisze o rozwiązaniu zadania konkursowego, a tymczasem przysłała tylko łamigłówkę, krzyż z podstawą. Co to ma znaczyć, Orzełku?

Ex-Czapla skarży się, że nie wszystkie jej łamigłówki były drukowane, że je uprzedziły inne, później nadesłane. Wszystko to prawda, ale cóż począć, jeśli tych łamigłówek nadchodzi kilkanaście i więcej na tydzień, a trzy tylko wydrukować można? To pewna, że i Ex-Czapla i inne ptaszki, kwiatki, muszki najdowcipniejsze nie potrafiłyby sobie inaczej w tym kłopotcie poradzić, i musiałyby, tak samo, jak i nasza redakcja, wybrać z tego mnóstwa trzy najlepsze, resztę zaś z bólem serca... wrzucić do kosza. Mybyśmy radzi, kochana Ex-Czaplo, wszystkim dogodzić, wszystkich zadowolnić, ale jeśli to rzecz niemożliwa?

Zawieję ukraińską, która od stepów dalekich przybywa z dalkiem dobroczynnym, bardzo serdecznie witamy w gronie korespondentek. Cieszymy się, że Zawieję z takim upodobaniem czytuje nasze powiastki, a nie wątpimy, że i te, które po terazniejszych nastąpią, również ją będą zajmowały.

Roślinkę, także stepową, chętnie zapisujemy do grona stałych korespondentek, bo liściki tak ładną i porządną kaligrafią pisane, zawsze są mile witane w naszej redakcji. I Mamie, i nauczycielce, i dobrej niani, dziękujemy serdecznie, że się przyczyniły do powiększenia hojnego datku.

Trawka z nad Wilii bardzo rozsądnie i trafnie sądzi o naszych konkursach. Nie miałyby one żadnego znaczenia i żadnej wartości, gdyby redakcja nie kierowała się jaknajściślejszą sprawiedliwością. Nagroda może być dana tylko jedna, lecz korzyść odnoszą wszyscy. Kochana Trawka we wszystkiem jest wyrozumiała, więc i o dłuższą odpowiedź nie prosi, chociaż jako dawna i zasłużona korespondentka większe od wielu innych ma do tego prawo.

Skowronek z nad Warty trafnie zauważył, że w gronie korespondentów więcej mamy panienek niż chłopców, sam jednak przyznaje, iż Pismo może być i przez chłopców w równem zajęciem czytane. Bardzo radzi jesteśmy, że Skowronek się o tym przekonał, a co się tyczy korespondencji, łatwo zrozumieć przyczynę: oto panienki zawsze więcej mają czasu. Ale też my tym więcej cenimy korespondentów, którzy przy nawale zajęć szkolnych znajdują chwilkę i dla nas. Kazio serdecznie dziękuje za życzenia kolegi i wzajemne przesyła.

„Droga Jutrzenko! Donoszę ci, że nic jeszcze nie wiem, czy „Wieczory czytywać będą na wsi. Prawdziwe Bogactwo nadzwyczaj mnie zajmowało, lecz koniec mocno mnie zawiódł. (Dlaczego? zapytanie redakcji) Twój list bardzo mnie ucieszył, twoja Ex-Czapla”.

— Mądra jest bardzo twoja mowa, mistrzu kochany — odezwał się królówicZ Zielonko — nie rozumiem jej jednak dokładnie. Dobrze ty powiadasz, że wychowanie moje było cokolwiek zaniedbane. Od dzieciństwa lubiłem niezmiernie rośliny, ciągle na nie patrzyłem, a muszę wyznać ze wstydem, że nigdy o tём nie pomyślałem, jakim sposobem one rosną, powiększają się, i wzduż, i wszertz, zkąd biorą do tego materyał? Dziwne to naprawdę, bardzo dziwne, bo nie widzę tu nigdzie w pobliżu moich roślin nic podobnego.

— Wiesz jednak o tём, miłościwy królówiczu, że wieędy i usychały, gdy im zabrakło dobrej, urodzajnej ziemi. One z głodu ginęły, wyciągnęły z tój ziemi wszystkie cząstki pożywne, trzeba więc było dostarczyć im świeżych zapasów żywności.

— Nigdy mi nawet do głowy nie przyszło — rzekł królówicZ ze zdziwieniem — że rośliny mogą głód cierpieć i potrzebują pokarmu.

— Ach! ta niewiadomość stała się właśnie powodem smutnej waśni pomiędzy tobą, miłościwy królówiczu, a dostojnymi twoimi braćmi. Gdybyś był wiedział, czém się rośliny żywią, nie powiedziałbyś był tak lekkomyślnie, że się obejdiesz bez królówicza Krysztalka i jego martwych minerałów.

— Więc one żywią się minerałami i rosną tym sposobem. Nie mogę jednak zrozumieć tego, co powiedziałeś przed chwilą, mistrzu, że tak samo, jak budynek powstaje z cegieł lub kamieni, tak i w roślinach układają się drobnitkie cząsteczki jedne obok drugich, tworząc korzenie, łodygi, liście. Czyż w ziemi są stosowne do tego cząsteczki?

— W ziemi i powietrzu są potrzebne do tego materyały, bo rośliny i z powietrza także pokarm pobierają. Tylko trzeba wiedzieć, że we wnętrzu roślin z tym materyałem odbywają się różne manipulacye, daleko dziwniejsze od tych, które to urządzał w swojej pracowni przyjaciel mój Chemik. Takeśmy się zagadali, że jeszcze dotychczas ei nie powiedziałem, co to on przy rozbiorach swoich znalazł we wszystkich roślinnych i zwierzęcych ciałach.

— Ach, prawda, zapomniałem o tём; mówiłeś, że wszędzie prawie toż samo, ale co?

— Zaraz powiem. Najpierw w każdej roślinie, we wszystkich jej częściach, a także i we wszystkich zwierzęcych ciałach, znalazł przyjaciel mój Chemik węgiel. Najdrobniejsze ździebełko mchu, najlichszy robaczek, musi mieć w sobie koniecznie trochę węgla.

(d. c. n).

Zadanie konikowe.
(Różyczka polna).

Fór	ko	to
się	*	tų
na	czy	łem

Odczytać znane przysłowie.

„Przesyłam pozdrowienie Kampanelli i Muszelce z nad Pilicy, nie gniewam się wcale, że nie odpisały, bo wiem o przeszkodach. Mamę i Babunię widziałam i dostałam fotografią. Dziudzi buziaka przesyłam Ex-Czapla.

„Kochana Pszczółko litewska! Znam cię z opowiadania i wiem, kto jesteś. Sympatyzujemy z sobą, gdyż moja Babunia mieszka w tej części kraju, co i twoja, i znają się bardzo dobrze. Ja pochodzę właśnie z tamtąd, lecz teraz mieszkam w Warszawie. Na imię mi Terenia, Ex Czapla”.

„Kochana Wiochno z pod Lublina! Bardzo mi się podobał twój pseudonym i zaciekał. Wiem z listów twoich od innych korespondentek, jak się nazywasz i ile masz lat. Ja nazywam się Marta, mam lat 12. Zdaje mi się, że cię poznała w Nałęczowie trzy lata temu. Byłam wtenczas ze starszą siostrą Cesią. Odpisz mi, twoja Kamelia różowa”.

Kochana Konwalio z Siedlec i Dziewanno! Bardzo chciałybyśmy się z wami poznać, gdyż często rozmawiamy o was z pewną osobą, zgadnijcie z kim? Moje imię Maniusia, mieszkam w Małej Rusi, przesyłam wam serdecznego całuska, Gwiazdka z Małej Rusi.

Bławatce z nad Horynia przesyła serdeczne uściśnienie Zawieja ukraińska.

Nemo, który poprzednio przysłał łamigłówkę bez rozwiązania, teraz znów nadsyła rozwiązanie bez łamigłówni, sądząc, że my ją po tak długim przeciagu czasu potrafimy odszukać. Szanowny Nemo zapominał o tém, że oprócz jego liścików, nadchodzi codziennie mnóstwo innych i trzeba by to wszystko przerzucić, aby odszukać owę łamigłówkę. Zajęłoby to nam dużo czasu, zresztą raz po raz powtarzamy, że niepodobna pomieścić łamigłówek, których ogromną ilość ciągle nadsyłają ze wszystkich stron.

Stokrotka z nad Granicy trafnie odgadła łamigłówkę a prozę i poezję ślicznie ułożyła. Niesłusznie też kochana Stokrotka staranne swoje pismo nazywa bazgotami.

Brzózka płacząca, która wcale nie gryzmoła, jak sama o sobie powiada, lecz porządnie i starannie pisze, zaliczamy chętnie do stałych korespondentek. Kto pragnie być kochanym, ma do tego sposób najlepszy, oto sam powinien kochać bliźnich, o ile może każdemu dobrze czynić, za złe nawet dobrém odpłacać, a niezawodnie zdobędzie skarb najdroższy na ziemi, miłość ludzką. My odrazu pokochaliśmy tę miłą Brzózkę i życzymy jej szczerze, aby z płaczącej w śmiejącą się zmieniła.

Sasanka leśna wyrozumialszą jest od innych korespondentek, trafnie też powiada, że redakcyja w żaden sposób pomieścić nie może wszystkich nadsyłanych łamigłówek. Zrażać się tém nie należy, tylko obmyślać coraz dowcipniejsze, bo na najlepsze zawsze się miejsce znajdzie. Co do Majówki, przypominamy sobie liściki z tym podpisem, ponieważ jednak osóbką, która ten pseudonym wybrała, nie dodała prawdziwego nazwiska, więc równie jak i Sasanka leśna, nie jest zapisana w gronie stałych korespondentek. Rzecz prosta, że nie znając nazwiska piszących, nie możemy odgadnąć, czy kilka osób nie podpisuje się tym samym pseudonymem.

Lina R, przesyłając próbkę kaligrafii, zapomniała o ważnym warunku naszych konkursów, o obraniu pseudonymu, to jest nazwy przybranój; nazwisk prawdziwych, które są nam potrzebne dla przesłania nagród, nie drukujemy w Piśmie.

Iskierka powinna by już wiedzieć, że najczęstsze i najdłuższe liściki nigdy się nam naprzykrzyć nie mogą. Kazio dziękuje za życzenia i donosi, że się spełniają; zapytuje przytém, czy Iskierka

zadowolona jest z sądu konkursowego. Co do Krakowianina, domysł jest trafny. Szarada będzie drukowana.

KRONIKA RODZINNA.

„Kronika Rodzinna“ wychodzić będzie w kwartale przysłym w tymże samym kierunku i warunkach. W najbliższych numerach zamieści pomiędzy innymi: **OPOWIADANIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD**, odbytęj w końcu roku zeszłego przez *Ignacego Domejkę*. W dalszym ciągu *Korespondencyje Michała Wisznieńskiego*, z archiwum hr. Przeździeckich. **ZE WSPOMNIENI O DOBRĘJ KRÓLOWEJ**, niewydane listy Maryi Leszczyńskiej. **LISTRY Z WŁOCH**, hr. Wojciecha Dzie duszyckiego; *Korespondencyje z Londynu* Miss Magdaleny Ashurst Biggs, tłumaczki na język angielski „Pana Tadeusza“, oraz powieść z dawnych dziejów pod tytułem: **NA ZAMKU ZŁOTOYISKIM**.

Prenumeratory „Kroniki“, otrzymać mogą po cenie zniżonej różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem Redakcyi **PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

PRENUMERATA roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (to jest. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi:

Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

Numer 11-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA:

Pogadanki o higienie. III. O pielęgnowaniu skóry przez D-ra Stanisława Kamińskiego. Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego. Przez Henryka Wernica. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (c. d.). Korespondencyja z Pragi Czeskiej p. Lud. Strahla. Krytyka i bibliografja. Wieczory Rodzinne i Przyjacieli dzieci. Od 1 Stycznia do 1 Kwietnia 1886 oceniła Zofia Urbanowska (dok.), b) przegląd literatury zagranicznej. Kilka słów odpowiedzi E. Bogusławskiego p. Świeżawskiemu. Dodatek: Zadania na ułamki S. Dicksteina.

Przyjmuję na stancję panienki

uczęszczające do zakładów naukowych i rzemioł rękodzielniczych zapewniając troskliwą opiekę i pomoc naukową.

Żurawia Nr. 11 m. 5.

WIECZORY RODZINNE.

„Wieczory Rodzinne“ wychodzić będą w półroczu następnym w tymże samym kierunku i warunkach, zamieszczając **OPOWIADANIA HISTORYCZNE — ŻYCIORYSY ZNAKOMITYCH LUDZI — WIADOMOŚCI Z NAUK PRZYRODNICZYCH, HISTORII ODKRYCIA I WYNALEZKÓW — POWIEŚCI — PODRÓŻE — ZAGADKI HISTORYCZNE** i inne, za odgadnięcie dawać się będą nagrody z książek, albumów, rycin i fotografii. Prenumeratory oprócz tego nabywać mogą po cenie zniżonej odpowiednio dla siebie książki. W półroczu przysłym będą zamieszczone między innymi: **ZŁOTY PAZ** powieść historyczna M. Grzymały, **TAJEMNICA STAREGO KLASZTORU**, powieść z dziejów Serbii. **GARBUSEK**, powieść dla dorastających panienek p. Maryi Świdarskiej. **KOMEDYJKI** dla teatrzyków amatorskich, **POGADANKI Z NAUK PRZYRODNICZYCH** M. J. Zaleskiej, **OBRAZKI Z DZIEJÓW LITERATURY** p. Z. Merawską, **POGADANKI OGRODNICZE** p. Z. Grabkowską, **W KRAJINIE ŚNIEGÓW I LODÓW**, podróż młodego wędrowca Polaka w krajach podbiegunowych.